SIOSTRA ANASTAZJA

ŻYCIE PEŁNE SMAKU

SIOSTRA ANASTAZJA

ŻYCIE PEŁNE SMAKU

Sławomir Rusin

Wydawnictwo WAM ■ Kraków 2019

© Wydawnictwo WAM, 2019

Opieka redakcyjna: Klaudia Bień
Redakcja: Irena Gubernat
Korekta: Bartosz Szpojda
Opracowanie graficzne, zdjęcia potraw: Andrzej Sochacki
Projekt okładki: Andrzej Sochacki
Zdjęcie na okładce: Dariusz Kobucki

ISBN 978-83-277-1709-2

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk: Dimograf • Bielsko-Biała

Publikację wydrukowano na papierze Igepa Super Brite 80 g/m²
dostarczonym przez Igepa Sp. z o.o.

część pierwsza

PRZEPIS NA ŻYCIE

Rozmowa z siostrą Anastazją

Niektórzy mówią o Siostrze: „Pierwsza Kucharka Rzeczypospolitej".

Tak, słyszałam. Nigdy jednak w żadnym konkursie na najlepszą kucharkę nie brałam udziału, a gdybym nawet wzięła, to pewnie znaleźliby się lepsi. Po prostu przez wiele lat gotowałam, piekłam, wymyślałam przepisy i lubiłam to robić. A ojcowie jezuici uznali, że warto, by te moje receptury były szerzej znane, i tak zaczęły pojawiać się publikacje. Pierwszą była *103 ciasta siostry Anastazji*. Okazało się, że książki się podobają.

Zaskoczyło Siostrę to zainteresowanie?

Bardzo. Myślę, że ojców jezuitów i Wydawnictwo WAM również.

Niektórzy, obserwując ten sukces, zastanawiają się nawet, czy ktoś taki jak siostra Anastazja naprawdę istnieje, czy nie jest to po prostu chwyt marketingowy...

Mogę zapewnić, że istnieję i mam na to wielu świadków. (*śmiech*) Nie wiem, kiedy Pan Bóg powoła mnie do siebie, ale dopóki zdrowie pozwala, staram się spotykać z czytelnikami, najczęściej z terenów Podkarpacia, Małopolski i Śląska. Oni mogą zaświadczyć, że kogoś takiego jak siostra Anastazja spotkali. No i nie zapominajmy o siostrach z mojego zgromadzenia.

Gdzie zatem urodziła się siostra Anastazja?

Krysia, bo takie imię mi nadano podczas chrztu, urodziła się w małej wiosce na Podkarpaciu, na południe od Dynowa. Miejscowość nazywa się Dylągowa.

Kościół parafialny w Dylągowej (fot. S. Rusin)

To piękne tereny, na granicy Bieszczad.

Tak, zwłaszcza na wiosnę i w lecie jest wyjątkowo malowniczo. Zimą również, ale żyć wtedy jest tam nieco trudniej.

Ale to też ziemia z trudną przeszłością…

Zgadza się, to tereny bratobójczych walk Polaków i Ukraińców. Bratobójczych, bo między jednymi i drugimi kwitły również przyjaźnie, a nie wyłącznie wrogość. Mój tato przyjaźnił się z Ukraińcem, niestety był świadkiem jego śmierci, kiedy ten został rozstrzelany przez Polaków w Pawłokomie. Nie mógł nic zrobić, żeby go uratować.

Sad i pasieka obok domu rodzinnego siostry Anastazji (fot. A. Sroka)

Kiedy pojawiłam się na świecie, a było to w 1950 roku, czyli pięć lat po zakończeniu wojny, na większości obszaru Polski było już w miarę spokojnie, a w naszych okolicach niestety wciąż żyliśmy w lęku przed bandami UPA.

Nasz dom, jak wiele innych w wiosce, został spalony przez Ukraińców. Rodzice musieli uciekać z tym, co udało im się zabrać. Mama jakimś cudem wyciągnęła ponoć sama z domu niepełnosprawną teściową, wyrzuciła przez okno kredens i wypędziła z obory zwierzęta. Do dziś nie jestem w stanie pojąć, jak tego dokonała. Naszą rodzinę przygarnęli dobrzy ludzie ze wsi Łubno. Po pewnym czasie tacie udało się odbudować dom. Był bardzo skromny, na prawo od wejścia znajdowała się część gospodarcza,

Dom rodzinny siostry Anastazji (fot. A. Sroka)

na lewo mieszkalna – jedna izba z klepiskiem. I w tym nowym już domu urodziłam się ja, jako najmłodsze z pięciorga dzieci. Niestety pół roku później tato zmarł.

Życie było bardzo proste. Ludzie utrzymywali się z tego i jedli to, co sami zebrali z pól, z lasu i co wyhodowali w oborach. Niestety polskie państwo obciążało dość mocno różnymi podatkami. Dużą część upraw należało oddawać, nie wolno było dokonać uboju bez zezwolenia. Nawet mąki w młynie nie można było zmielić bez strat. Wszystko podlegało kontroli.

Wspominała Siostra o rodzeństwie…

Tak – dwóch braci i dwie siostry. Najstarszy brat po wojnie wyjechał na Śląsk, aby pracować w kopalni. Jedna z sióstr udała się z rodziną taty na Ziemie Odzyskane, w okolice Wrocławia, i tam dorastała. Wróciła do nas dopiero po ukończeniu szkoły podstawowej. To były trudne czasy i decyzje. Druga siostra wyszła za mąż i zamieszkała z mężem koło Tarnobrzega. Z mamą w domu zostaliśmy we dwójkę: ja i brat Tadek. Pomagaliśmy jej, jak mogliśmy.

Dobrze się Siostra uczyła?

Nie najgorzej. Nie miałam żadnych problemów z przechodzeniem z klasy do klasy.

Daleko było do szkoły?

W Dyląg owej było wtedy dużo dzieci, myślę, że znacznie więcej niż dziś, dlatego we wsi funkcjonowały dwie szkoły. Klasy początkowe znajdowały się w dwóch miejscach wsi. Jedno było całkiem blisko naszego domu. Natomiast klasy starsze zlokalizowano niedaleko kościoła. Dobrze wspominam ten czas.

Myślę, że nauczyciele zadawali nam znacznie mniej zadań niż obecnie. Prócz szkoły mieliśmy przecież wiele obowiązków w domu i na roli, zwłaszcza wiosną i jesienią, i oni doskonale to rozumieli.

Nie mieliśmy wówczas elektryczności i pamiętam, że spotykaliśmy się wieczorami w różnych domach, by

Panorama Dyląg owej (fot. S. Rusin)

wspólnie, większą grupą, przy lampie naftowej, czytać lektury. Robiliśmy to na zmianę, żeby nie było, że czyta tylko jeden. A kiedy rozpoczęto proces elektryfikacji, biegaliśmy wieczorami od domu do domu, by przez okna zaglądać do środka. Lampa naftowa dawała niewiele światła, dlatego po zachodzie słońca w chałupach panował półmrok. Elektryczność wszystko zmieniła.

Jako kucharki nie mogę Siostry nie zapytać o potrawy z dzieciństwa. Pewnie nie było ich za wiele, ale może pozostały w pamięci jakieś ulubione smaki?

Kuchnia, jak można się domyślać, była bardzo uboga. Gospodynie nie znały tylu przepisów, co dziś, ani nie miały dostępu do tak wielu produktów. Niemniej pewne dania pamiętam doskonale: barszcz biały, gołąbki z ziemniakami, pierogi. Te ostatnie – ruskie, z kapustą, ze słodkim serem – jedliśmy na śniadanie w każdą niedzielę czy święto. Mięso pojawiało się bardzo rzadko.

Skoro Podkarpacie, to na pewno nie brakowało pieczonych na kuchennej blasze proziaków (placków z sodą)...

Proziaki są mi dobrze znane, ale u mnie w domu na blasze piekło się też trochę rzadsze, rozrabiane ciasto. Do tych placków mama podawała nam świeże mleko „prosto od krowy". Było jeszcze cieplutkie, z pianką, a do tego te placuszki. Pyszne danie.

Te najprostsze potrawy wspomina się chyba najlepiej.

Pamiętam też pieczone proste drożdżowe ciasta zawijane z marmoladą lub z jabłkami. No i oczywiście z makiem – dawniej na jego uprawę nie wymagano pozwoleń, był więc dość popularny.

Z okresu dzieciństwa zwykle najcieplej wspominamy święta Bożego Narodzenia.

To prawda.

Co w świętach w Dylągowej było takiego szczególnego?

Może zacznę przewrotnie, nie od smaków, ale od innego aspektu, który jest dziś nieco pomijany. A był wtedy – i wciąż jest – dla mnie bardzo ważny. Chodzi mi o przygotowanie do świąt; i nie mam tu na myśli sprzątania, pieczenia czy gotowania, ale bardziej o przysposobienie własnego wnętrza. Do tego służy Adwent. Jako dzieci – jeśli tylko nam mama pozwalała, bo zimy były wtedy nieco bardziej srogie, a zwłaszcza w naszych górach – biegaliśmy z bratem na roraty. Niestety nie mieliśmy tak pięknych lampionów, jakie dzieci przynoszą dziś do świątyń, mieliśmy za to około trzech kilometrów drogi w jedną stronę. I to jest jedno ze skojarzeń, które się pojawia, kiedy zaczynam myśleć o Bożym Narodzeniu.

Adwent nie ma tak pokutnego charakteru jak Wielki Post, jest bardziej radosny.

Zgadza się, jednak pewna refleksja czy wyrzeczenie powinny mu towarzyszyć. Tak jak rodzina przygotowuje się na narodziny dziecka, tak i my w tym czasie czekamy na narodziny Jezusa.

Jeśli dobrze nie przepracujemy tego czasu, może się zdarzyć, że siądziemy do kolacji wigilijnej pokłóceni, z niezałatwionymi sprawami, z noszonymi od dłuższego czasu urazami. A to na pewno nie pomoże w spotkaniu. Jezus przyszedł na świat w domu, w którym panowały zgoda i miłość. I kiedy w Boże Narodzenie pojawi się w naszych domach, też powinien doświadczyć podobnej atmosfery.

Wróćmy zatem do świąt. Z Wigilią wiąże się – zwłaszcza na wsi – wiele tradycji, obrzędów czy nawet przesądów. Domyślam się, że i u Siostry w domu było podobnie…

Tego dnia kobietom nie wolno było wychodzić z domu i odwiedzać sąsiadów. Stary przesąd mówił, że takie odwiedziny są zwiastunem nieszczęścia. Gospodynie i ich córki siedziały więc w domu, w przeciwieństwie do gospodarzy i chłopców. Ci wędrowali od domu do domu i winszowali. Oczywiście, kiedy nadchodziła pora wieczerzy, zakaz przestawał obowiązywać.

Zanim zaczęła się kolacja, wychodziliśmy z bratem do ogrodu. On zabierał siekierę, a ja miskę kokotek (to taki rodzaj klusek, w innych wsiach, na przykład w sąsiednim Nozdrzcu, nazywanych również kukutkami). Podchodziliśmy razem do drzew owocowych. Przy każdym z nich brat robił zamach siekierą, a ja w imieniu drzewa prosiłam, żeby nie uderzał w pień, bo w przyszłym roku da ono tak dorodne owoce, jak te kokotki.

Była zapewne i choinka.

Zdobiliśmy ją przygotowanymi w Adwencie łańcuchami z bibuły lub ze słomy i pestek dyni, owiniętych w kolorowe papierki. Wieszaliśmy orzechy i jabłka. Raczej nie było słodyczy, nie licząc kilku opakowanych w złotka kostek cukru.

Jezus przyszedł na świat w domu, w którym panowały zgoda i miłość. I kiedy w Boże Narodzenie pojawi się w naszych domach, też powinien doświadczyć podobnej atmosfery.

Pamiętam też, że dziewczyny przed wigilią zamiatały izbę. Wyrzucały na pole to, co zmiotły, i wsłuchiwały się, z której strony najpierw zaszczeka pies, bo stamtąd miał w przyszłości nadejść narzeczony.

Na wsi trudno nie usłyszeć szczekania. Z której strony dobiegło w Siostry przypadku?

Powinno dobiec z południowego zachodu.

Dlaczego stamtąd?

Bo próbowano mnie zeswatać z pewnym Czechem. Przez pewien czas pracowałam w Czechosłowacji, w hucie szkła. Miałam wtedy niecałe dwadzieścia lat. Tam poznałam pewną Czeszkę, która uznała mnie za doskonały materiał na żonę dla jej syna. Odwiedzałam ich co tydzień w sobotę, bardzo się polubiliśmy, ale ostatecznie wybrałam – jak widać – drogę zakonną.

Wrócimy do tego wątku na pewno. Ale zatrzymajmy się jeszcze na kolacji wigilijnej. Zaczynała się z pierwszą gwiazdką?

Niekoniecznie, po prostu wieczorem. Jadaliśmy przeważnie kilka kolacji wigilijnych. W naszym domu wieczerza zaczynała się najwcześniej, bo byliśmy najbardziej oddaleni od centrum wsi. Przychodzili do nas krewni. Po pierwszej kolacji ruszaliśmy do innych domów na kolejne posiłki, cały czas zbliżając się do kościoła, by o północy pojawić się na pasterce.

Jak wyglądały takie wieczerze?

Najpierw była modlitwa, potem życzenia i dzielenie się opłatkiem. Na środku stołu zawsze leżało siano, i było go całkiem sporo. Kładziono na nim opłatki, które zostały po dzieleniu, a na nich miskę z potrawami.